

Viator in fabula

— Kolej żelazna to bardzo solidna forma narracji — podróżny naprzeciw mnie rozsiadł się wygodnie.

— Ma wszystko, co potrzeba dobrej opowieści: linearną ciągłość, liczne zwrotnice, wciąż nowe postaci, które pojawiają się i znikają bezpowrotnie, a wszystko razem, połączone staromodną (chciałbym powiedzieć: żelazną) dyscypliną, rozwija się ze stałą prędkością, choć nie za szybko, no i bez wątplenia — po kolei! Nigdzie tak dobrze się nie opowiada, jak w pociągu! — wyciągnął nogi w wypielęgnowanych butach ze złotymi klamerkami.

— Pamiętam moją pierwszą podróż: ledwie wsiadłem do wagonu, ledwie pociąg ruszył, a już mojemu ciału, bagażom i myślom narzucił się gotowy rytm — nigdy jeszcze nie doświadczyłem tak niebywałej spójności świata!

TU-dum — TU-dum — TU-dum — otworzyłem usta, ale nie usłyszałem nic oprócz dudnienia. No tak! — pomyślałem z goryczą. — Co z tego, że znam rytm mojej opowieści, kiedy brakuje mi... faktów. Wiem — jak! (TU-dum — TU-dum). Lecz... nie wiem — co!

Ach, nie przesadzajmy z faktami! — próbowałem się pocieszać. Fakty są jak zatęchłe samotne miejsciny rozrzucone na pustkowiu: nie mają znaczenia, zanim się ich

nie połączy opowiadaniem, jak torami, a potem nie wpiśże do rejestru przyczyn i skutków, jak do rozkładu jazdy. Wtedy dopiero zaczynają tętnić życiem! Tylko kolej żelazna i opowieści łączą ze sobą to, co odległe, obce, a nawet, ośmielałem się twierdzić, w istocie swojej zupełnie niezwiązywalne! Co może łączyć Chicago z Patagonią lub Apeniny z Andami albo... pana i, powiedzmy, moje buty, jeśli nie... — tu zachichotał.

— Tak sobie rozmyślałem, a człowiek, siedzący naprzeciw mnie tak jak pan, kołysał się w znajomym rytmie, jak wszystkie części kolejowego wszechświata, i pewnie dlatego bezbłędnie odczytał moje rozterki:

— Myśli jak puste dudniące kapsuły — westchnął. — Pan, widzę, pierwszy raz... Proszę mi wierzyć, mogło być gorzej! Dobrze pamiętam swoją pierwszą podróż: już wiele nocy wcześniej nie mogłem zmrużyć oka z podniecenia! Oczekiwałem przygód i szaleńczych perypetii, a kiedy już ruszyłem w drogę, ku własnemu zdziwieniu, nie doświadczałem niczego oprócz... hm... czystego ruchu, samej tylko drogi... Drogi, by tak rzec: in statu nascendi. Słyszałem, jak zaczyna dźwięczeć, ożywiona nagłym pojawieniem się podróżnego, jak próbuje schwytać go w swój rytm, śmiesznym poszturchiwaniem zmusić do uległości, by na koniec, bez ostrzeżenia, pogrążyć go we śnie podczas któregoś z niespodziewanych uskoków.

Postoje spadały na mnie atakiem duszności. Charcząc, ścisnąłem gardło, przez które wdierała się pustka — droga wciąż drżała we mnie, przewleczona przez moje ciało jak struna — ledwie żywy czekałem, aż skończy się popas, a wyboisty trakt na powrót ujmie w karby moje roztrzęsione myśli — i ocali mi życie!

Po powrocie do domu pamiętałem tylko pociągi, autobusy, lektyki, samoloty, juczne zwierzęta... Pamiętałem wibracje, turbulencje, dudnienia... Pamiętałem... podróżowanie — ostatnie słowo wymamrotał już przez sen.

— Ja też pamiętam swoją pierwszą podróż! — pasażer, który właśnie wszedł do przedziału, położył walizkę na górnej półce, rozsiadł się zamaszyście obok mnie i zakłócał całym ciałem, szturchając mnie w ramię.

— Nie powiem... — zawiesił głos na cztery pełne „TU-dum”, co zrobiło cholernie mocne wrażenie.

— Nie powiem — powtórzył — żebym nie był zdziwiony, gdy z okna samolotu ujrzałem miasto o topografii IDE-AL-NIE odpowiadającej liniom papilarnym mojego kciuka!

— O, TU-dum! — zadudniłem z wrażenia.

— I rzekę... — ciągnął — której brzeg WIERNIE odwzorowywał mój profil! A gdy już wylądowałem, to... nie uwierzy pan: brunatny zaułek pośród niskich domów i zielonej trawy BYŁ wcieleniem pewnej myśli o Bogu, która właśnie przyszła mi do głowy. Czym prędzej wsiałem na okręt i popłynąłem na południe. Błąkałem się po morzu, aż w końcu, w małym portowym mieście na jednej ze śródziemnomorskich wysp, zmęczony żarem, przysiadłem w cieniu opuszczonego domu — i dopiero po chwili zorientowałem się, że układ pilastrów na murze złośliwie przedrzeźnia moją niemoc! Ale taka już jest natura pilastrów! Te płaskie występy na murze, udające kolumny — są z gruntu fałszywe! Byłbym się już z tego nie podniósł, lecz na szczęście — uśmiechnął się z ulgą — most w Glasgow, widziany w styczniu od północnej strony, w jasnej mgle, zwrócił mi utracone poczucie wielkości i siły!

— Mosty takie są! — potwierdziłem.

Wyjrzał przez okno. Okolica była wyjątkowo piękna, ale on wskazywał palcem w jeden punkt: pękaty rezerwuuar górujący nad miasteczkiem.

— Wieża ciśnień! Przypomina mi, że muszę natychmiast do... — i wybiegł.

A w przedziale był już nowy pasażer.

— Ja też przypominam sobie moją pierwszą podróż! — powiedział. — Siedziałem: o tak, jak teraz, a naprzeciw mnie siedział mężczyzna, zupełnie taki jak pan. Na stoliku pomiędzy nami parowały przyniesione z bufetu dwie szklanki z herbatą. Upiliśmy nieco kolorowego wrzątku i już po chwili, za sprawą mego współtowarzysza, szklanki zawierały tyle samo herbaty, co i koniaku, lecz była to równowaga chwilowa! Jako żywioł o nieporównanie większej mocy spiritus vini znajdował się w nieustannym natarciu, herbata zaś wycofywała się powoli, lecz stale, a jej mdłą zawziętość wyczuwaliśmy jedynie koniuszkiem języka. Nie minął kwadrans, kiedy po herbacie nie pozostało ani śladu, a jednak... — współpasażer uśmiechnął się tajemniczo. — Nasze szklanki wciąż wypełnione były jasnobrazowym płynem!

— Iluzjonista! — domyśliłem się.

— Och, nie! Nie! Był członkiem tajemnej sekty! Krążył po świecie jako jeden z ostatnich świadków ROZMOWY — obcowania dusz niesionych oddechem — głosząc jej śmierć i fałszywe zmartwychwstanie w Internecie:

— W czasach przemysłowej konfabulacji — zagaił mój towarzysz — jaką raczą nas filmy i powieści w miękkiej oprawie, takie „rękodzieło” jak rozmowa staje się klejnotem wymagającym specjalnej ochrony!

Zgodziłem się, on zaś chrząknął i znowu jakby zaczął — tym razem bardziej uroczyście:

— Ja, proszę pana, wszystko, co wiem, zawdzięczam temu, co opowiedział mi ktoś, komu opowiedział to znów kto inny, a tamtemu jeszcze ów, a owemu...

— A temu... — zacząłem, ale chwyciła mnie czkawka.

— Któremu? — podchwycił uprzejmie.

— Temu... co NAPRAWDĘ się panu przytrafiło — czy temu nic pan nie zawdzięcza?

Popatrzył na mnie z politowaniem:

— A jakże by mi się mogło w życiu co przytrafić, gdyby mi tego pierwszej nie opowiedziano?

— Pan wszystko pomieszał! — krzyknąłem. — Najpierw COŚ się przydarza, a potem dopiero się o tym mówi! To życie wydziela z siebie aromat opowieści, jak winny bukiet, który opowiada o szczodrości miejsca i wietrze, dniach słonecznych i dobrych...

— Jest pan pewien? — zdziwił się szczerze. — A... marzenia? Czym one są, jeśli nie opowieścią o tym, czego nie ma i nigdy nie było, ale co bez wątpienia się wydarzy, jeśli tylko będziemy wierni... słowom!

— Doprawdy... nie wiem... — kołowało mi w głowie, a wtedy on natarł ze złością:

— Nie wiem! Nie wiem! — przedrzeźniał mnie. — Żeby wiedzieć, trzeba najpierw POWIEDZIEĆ! Już starożytni mawiali: Primum dicere, deinde vivere! Najpierw mówić, potem żyć!

— Nie wiedziałem. To znaczy: nie wiedziałem, dopóki pan nie... powiedział.

— No proszę! — uśmiechnął się tryumfująco.

Chciałem przytaknąć, ale gorący strumień, który z żo-

ładka płynął prostą drogą ku górze, porwał mi głowę, a ta, jak balon, uniosła się pod sufit i przytuliła do mlecznego klosza lampy.

— Czy pański towarzysz niczego nie zauważył?

— Niczego! On — mówił! A trzeba panu wiedzieć, że był on Bratem Inicjatorem, apostołem i forpocztą sekty, ustanawiał zdania bezwarunkowo pierwsze, zagajające, obiecujące, zdania-źródła. Za każdym razem, kiedy zaczynał mówić (a on wyłącznie „zaczynał mówić”), wygładzał przestrzeń poziomym ruchem ręki, jakby wyznaczał jakąś niewidzialną granicę, by potem, robiąc głęboki wdech, uczynić próżnię w miejscu, gdzie miała zadźwięczeć pierwsza sylaba Słowa: nie było tam jeszcze ani nieba, ani ziemi, ani gwiazd czy słońca — niczego, żaden świat nie został jeszcze stworzony, istniało tylko Słowo gotowe do erupcji.

— Więc on zagajał, a pan tymczasem... — ponagliłem, bo pociąg akurat przyspieszył.

— Zdekapitowany popadłem w bolesną rozterkę, bo, sam pan rozumie, ja — tu i ja — tam! Głowa, przycupnąwszy pod sufitem, szczyrzyła zęby sine od księżycowej poświaty i najwyraźniej coś knuła (jak to Głowa), podczas gdy drugi fragment mojej osoby z wegetatywną elegancją spoczywał w fotelu, chłonąc całym sobą kolejne inauguracje. Dla lepszego zrozumienia wychylił się nawet do przodu, unosząc lekko barki, aż w środku pojawiło się wgłębienie, a całość skupiła w kształt zasłuchanej morskiej muszli:

— A na początek — zaczął po raz kolejny Rozmówca — chciałbym rozważyć, czy opowieści istnieją w naturze, jako rzeczy, czy tylko w umysłach, jako myśli?

Sens tego zdania musiał ugodzić Korpus w samo serce, bo dłoń prawej ręki, nagle wyrzucona do przodu, pstryknęła palcami, czyniąc z tego pstryknięcia wykrzyk; wgłębienie powiększyło się, jakby swoją wklęsłością chciało wywołać ciąg dalszy — Tułów wyraźnie mościł miejsce na słowa — lecz ten nigdy nie nastąpił! Rozmowa kuliała. Wtedy mój rozmówca wyznał zawstydzony, że wiele lat temu, dla większej maestrii, Konwersacjoniści podzielili się rolami, by tym piękniej prowadzić rozmowy wewnątrz Bractwa: byli zatem Bracia Zagajający i elitarne kółko Kulminatorów oraz, rzecz jasna, ci, co spinali klejnot rozmowy ozdobną fermaturą, twierdząc przy tym, że tylko koniec wieńczy dzieło i nie ma zaiste przyjemniejszego uczucia niż to, że wszystko już się skończyło. I nikt wówczas nie podejrzewał, że w zamyśle swoim szlachetna specjalizacja przyniesie tak tragiczne skutki!

W tej samej sekundzie Głowę dryfującą pod sufitem ogarnęło łzawe pragnienie, by zobaczyć owego fratra, któremu jest przyjemnie, kiedy kończy.

Co zapragnęła, to zobaczyła (jak to Głowa): jak na żądanie mój towarzysz rozwarstwił się: było ich teraz dwóch, jednakich, jak bracia bliźniacy, jeden zaczynał, drugi kończył, a tak sprawnie szła im ta robota, że ledwie Głowa mrugnęła powieką, a w przedziale aż pociemniało od historyjek z dwóch zdań złożonych tylko, co jak dwuskrzydłe cherubiny wyfruwały natychmiast przez okno. Lecz to wydało się Głowie zbyt proste, zaczęła wątpić (jak to ona): „Zdania przylegające do siebie i połączone próżnią, jak dwie półkule z Magdeburga, co nawet końskie zaprzęgi nie dały rady ich od siebie oderwać?! Jakież to banalne!” i natychmiast dodała dwóm Rozmówcom trzecie-

go — Kulminatora właśnie. Po dwakroć zreplikowany towarzysz mój zajmował teraz wszystkie miejsca po jednej stronie przedziału, Lewy od Prawego nie różnił się niczym, tak jak Środkowy nie odróżniał się żadnym szczegółem od pozostałych.

Głowa aż mlasnęła z zadowolenia: opowieści stały się teraz pełne napięcia, bo każdy z opowiadających walczył do upadłego o przewagę. Lewy zawiązywał akcję w tylu różnych punktach czasu i przestrzeni, wskazywał na tyle rozmaitych aspektów jednej sprawy, że stało się to w końcu trudne do zniesienia — początek zdawał się nie mieć końca! Kulminator dla odmiany, nie mogąc doczekać się głosu, kulminował na własną rękę, zasypując nas setkami możliwych suspensów. Prawy natomiast złośliwie odgrywał się na kolegach: najpierw wymyślając puenty wysoce nieprzyjemne, a potem w ogóle odmawiając wykończenia, pozwalał płynąć kunsztownym żaglowcom... bez rufy!

— Ale wróćmy do reszty... pańskiego ciała — zaproponowałem, bo fanaberie Głowy mnie znudziły.

— Tułów tężał. Nie wabił wklęsłościami, nie mościł przestrzeni na dalszy ciąg rozmowy, lecz, skrupulatnie podciągając nogawki, założył nogę na nogę z takim rozmachem, jakby chciał przeskoczyć samego siebie. Splótł ręce na piersiach i tak zasupłany zatonął w marzeniach rdzenia kręgowego.

Czasem jeszcze jakieś zdanie niczym gumowa kulka żłobiło dołek w jego ciele — Korpus, drgnąwszy, wymacał wgłębienie, gmerał w nim, wyjmował coś, rękę wyciągał w stronę Głowy, żeby dała świadectwo słowom, lecz Głowa (co za upadek!), zajęta zabawą w Początek, Śro-

dek i Koniec, dawała świadectwo jedynie własnemu szaleństwu.

Nagle szarpnęło wagonem. Tułów chlasnął o ścianę jak gumowy worek, Głowa opadła na stolik — poczułem ból. Moja świadomość z łoskotem wpadła do tunelu i już tam została — do czasu, aż dotarłem do miejsca... które miałem wypisane na bilecie. Kiedy jedziesz koleją, zawsze docierasz do końca. W takiej czy innej postaci...

Słońce właśnie wypłatało się z porannych mgieł i rozpoczęło podróż po czystym niebie, kiedy nasz pociąg „skończył bieg”, jak poetycko mówią kolejarze, a my, pasażerowie, wpadliśmy w narracyjną pustkę dworca — wietrzną, stalową konstrukcję pozbawioną rytmu i wibracji, w chłód nadmuchanego jak rybi pęcherz holu głównego. Świat wydał mi się ponurą wyrwą w pajęczynie żelaznych dróg, bolesną luką w prawdziwym życiu. Brakowało mi werwy metalicznego pulsowania, jednoznacznego porządku drogi, ludzi złączonych — skromnym co prawda, lecz przecież wspólnym — celem dotarcia do...

Bezbronny, poszturchiwany i nieważny jak bilet w mojej kieszeni czułem, że nie potrafię tak dalej żyć. Poszedłem do kasy — wygasły przed chwilą sens istnienia buchnął nowym płomieniem. Na peronie czarno odziani ludzie, pośród tajemniczych uniesień rąk i gwizdów, celebrowali Odejście. Drzwi zatrzasnęły się za moimi plecami.

Tak oto zostałem schwytany w żelazną sieć. Teraz wszystko, co najważniejsze, wożę ze sobą, a od rzeczywistości oczekuję jedynie... trochę drobnych! — zakończył i podsunął mi pod nos biały plastikowy kubeczek.

— Jeśli w dzisiejszych czasach nieznajomy opowiada ci jakąś historię, to na koniec z pewnością każe ci za nią

zapłacić! — mężczyzna uśmiechnął się do swoich butów ze złotymi klamerkami.

Niewidzialny rytm związał nasze ciała i zakołysał nimi z taką równoległością, jakbyśmy byli syjamskimi braćmi — ta nagła więź wydała mi się zawstydzająca. Mój towarzysz zdjął buty, przytulił się do szorstkiego oparcia i nakrył sobie twarz prochowcem. Korpus, obejmujący się troskliwie rękami, siedział naprzeciw mnie.

Uznałem, że jestem w przedziale sam. Stalowym prętem zmiażdżyłem mu krtań, Głowa opadła bezwładnie na stolik, Tułów próbował przez chwilę egzystencji na własną rękę, ale szybko zrezygnował i podążył za Głową. Laskę z połyskliwego metalu (wyglądała na zabytkową) wyrzuciłem przez okno — ze zgrzytem odbiła się od torów i wypadła z mojej fabuły (jeśli trafiła do innej, mam nadzieję, że nie będzie świadczyła przeciwko mnie). Wziąłem buty leżące na podłodze.

Pociąg zwalniał, rytm ledwie się tlił, jednym szarpnięciem otworzyłem okno i, zwinięty jak embrion, odepchnąłem się nogami od stolika.

Długo leżałem w trawie, a wilgotna ziemia wyciągała ze mnie znienawidzone dudnienie; drzenie wsiąkało w miękką grunty i grzęzło w korzeniach ziół, żelazny łoskot w mojej głowie rozpadał się na drzazgi, a dzielne, małe mrówki zabierały je ze sobą do swoich kryjówek.

Niebo nade mną lśniło jak gorący asfalt posypany piaskiem — świecące gwiazdy ktoś próbował połączyć liniami w figury zwierząt, rzeczy i bogów, ale ja udawałem, że ich nie widzę.

Tak zakończyła się moja pierwsza podróż... Skoro pan pytał.